

**Bogdan Białek (Kielce): Tej walce nie będzie końca.**

**Drodzy Przyjaciele:**

**Serdecznie dziękuję za to wspaniałe wyróżnienie, jakie mnie dzisiaj spotyka.**

**Proszę Państwa. Tuż przed pierwszą wojną światową w pewnej podkieleckiej miejscowości skazano jakiegoś człowieka na dożywocie. Po jakimś czasie przyszedł carski ukaz zmniejszający karę o połowę. Przedstawiciele lokalnej społeczności udali się do miejscowego rabina z zapytaniem, jak carski akt łaski rozumieć. Rabin odpowiedział: To proste, jeden dzień skazany ma przebywać na wolności, a jeden dzień w więzieniu.**

**Co ta anegdota ma wspólnego z tym, co dzieje się dzisiaj i tutaj? Ma wiele wspólnego. Ponieważ ja czuję się, jak ten skazany na dożywocie, któremu zmniejszono wyrok o połowę. Dzisiaj przypada ten dzień, kiedy jestem na wolności. Jutro wracam do celi. Wczoraj też byłem w celi. Dlaczego? Wczoraj przeczytałem w „Gazecie Wyborczej” o jakimś panu Farfale.**

**Dowiedziałem się, że na media w Polsce mogą mieć wpływ tacy ludzie jak pan Farfał, że tacy osobnicy mają swoje miejsce w polskiej przestrzeni publicznej. Dowiedziałem się, że ktoś jeszcze dzisiaj bezczelnie, bezwstydnie i bezkarnie żąda „odebrania praw Żydom”. W ciągu kilku ostatnich dni dowiedziałem się, że w Leżajsku jacyś artyści na ohelu cadyka Elimelecha narysowali ogromne swastyki, gwiazdy Dawida na szubienicy oraz obrzydliwe napisy. Dowiedziałem się także, że prowokator Nowak nadal, jako widmo antysemityzmu, krąży po kraju i łyż, podburza i pohukuje złowrogo. W kościołach.**

**Ze smutkiem dowiedziałem się o wypowiedzi kardynała Bertone odnoszącej się do kontrowersji, jaką wywołało nowe brzmienie wielkopiątkowej modlitwy za Żydów w przedsoborowym mszale. Kardynał powiedział, że sprawa dotyczy jedynie pewnego środowiska w obrębie Kościoła (czyli niektóre owieczki mogą sobie błędzić?!), a ponadto, zdaniem kardynała, „przydałoby się więcej wzajemności w relacjach katolicko-żydowskich”. Przecież nie należy tego rozumieć jako zachęty, aby Żydzi zrobili katolikom to, co dotychczas katolicy robili Żydom? Nie, oczywiście, że nie. Kardynał sprecyzował: „Obecność modlitw, które mogłyby, albo wręcz powinny zostać zmienione, dotyczy obu stron”. Może tak, nie wiem. Ale wiem na pewno, że prawda i dobroć nie podlegają negocjacji. Nie można targować się o prawdę i miłość. Jeśli Żydzi mają coś do zrobienia w tej sprawie, niech zrobią, jeśli zechcą. Jednak co to ma wspólnego z tym, że mój Kościół tkwi w**

tej sprawie w błędzie, wie o tym, ale dalej zamierza trwać, bo podobno Żydzi też trwają w błędzie. Zawsze byłem zdania, że nie można bronić wiary i Kościoła, bronić krzyża waląc tym krzyżem bliźniego swego po głowie.

Tak, w dniach takich wiadomości czuję się więźniem. Ale dzisiaj jest dzień wolności. Jedna z moich warszawskich przyjaciółek, gratulując mi tej nagrody, powiedziała: cieszę się, że cię wypatrzyli. Uświadomiła mi tym stwierdzeniem jedną rzecz – jak bardzo nieoczywiste jest to, że jestem tutaj teraz, w takich okolicznościach, z takiej okazji. Jak trudno z Warszawy dostrzec to, co dzieje się poza siedmioma lasami i siedzioma Górami Świętokrzyskimi. Że tutaj, na moim miejscu, powinien stanąć chociażby burmistrz Jarosław Zatorski z Chmielnika, który przy wsparciu miejscowego księdza proboszcza od lat z coraz lepszym skutkiem odmienia oblicze swej ziemi odkrywając żydowską przeszłość swojego miasta, organizując w nim corocznie spotkania z kulturą żydowską, wciągając w to miejscową społeczność, całą społeczność. Albo dyrektor muzeum regionalnego w Pińczowie pan Jerzy Znojek, który wydłubuje z ruin, komórek, chodników macewy, fragmenty macew, i znosi je do lapidarium usytuowanego wokół cudnej pińczowskiej synagogi. Pan Znojek uparcie, z ogromnym samozaparciem doprowadził do restauracji tej synagogi. Albo wójt Szydłowa Jan Klomczyński podążający śladami sąsiada Zatorskiego z Chmielnika. Gdy rada odmówiła wysupłania z budżetu gminy trzech tysięcy złotych na zrobienie kopii starego modlitewnika pochodzącego z szydłowskiej synagogi, postanowił sfinansować to prywatnie. A wcześniej zadbał o miejscową synagogę, starając się przywrócić jej właściwą godność. Albo mój przyjaciel z Rady Chrześcijan i Żydów, Leszek Tyboń, sandomierski społecznik, walczący od lat o historyczną prawdę w Sandomierzu. Ostatnio stoczył w Staszowie batalię z lokalną władzą o upamiętnienie miejscowych sprawiedliwych wśród narodów świata. I wielu innych, czy to nauczycieli, czy samorządowców, czy księży, którzy robią rzeczy mniej spektakularne, ale zmieniające ich najbliższe otoczenie. Czasami, tak jak w Starachowicach, dbają o maleńkie muzeum-izbę pamięci miejscowych Żydów, czasami poprowadzą młodzież na miejscowy żydowski cmentarz, aby odmówić psalmy. Często są bardzo samotni wśród swoich, wzbudzają podejrzliwość, bywa że wrogość, czasami się zniechęcają, poddają się, a czasami odwrotnie, im większy opór, tym więcej znajdują w sobie siły i determinacji. Takie inicjatywy, takie zdarzenie, takie osoby nie przebijają się w mediach, o nich się nie pisze. A to ich właśnie prof. Szewach Weiss nazwał kiedyś „drugim pokoleniem sprawiedliwych wśród narodów świata”. Ich działalność przywraca życie. Przywracają życie bez strachu, bez nienawiści i pogardy. Niekoniecznie oczekują, aby ich działanie zostało "wypatrzane" i wyróżnione. Ale na pewno nie chcą, aby

było pomniejszane. Ja sam wiem, ile trudu, ile determinacji trzeba mieć, aby działać w małych społecznościach.

Życie bez strachu. Marek Edelman będąc kilka lat temu w Kielcach powiedział, że Kielce to dziś inne miasto niż to, które zapamiętał z 1946 roku, gdyż „czas wyplenił zło z tego miasta”. Ja się z tym nie zgadzam. Czas niewiele miał tutaj do roboty. Zło wyplenili konkretni ludzie, konkretne działania. Owszem, pamiętam pierwsze publiczne upamiętnienie pogromu kieleckiego w 1981 roku. Ale czy tłumowi uczestników nabożeństwa w kieleckiej katedrze chodziło o ofiary tego bratobójczego mordu? Myślę, że nie. Dla znacznej większości było to działanie wymierzone w „komunę”, to była kolejna manifestacja przeciwko rządzącym, zresztą oskarżanym o sprawstwo pogromu. Dla wielu kielczan w tamtym czasie pogrom był przede wszystkim zbrodnią popełnioną przez obcą władzę na narodzie polskim: sowieccy okupanci wraz z rodzimymi kolaborantami zamordowali Żydów, aby pognębić Polaków i Kościół. Dowodem na to było wieloletnie milczenie w mediach, szkołach itd. Po dziesięciu latach podejmowane przeze mnie działania, publikacje w lokalnym dodatku Gazety Wyborczej itd., zaowocowały próbami zamachów bombowych m.in. na kierowaną przez mnie redakcję. Kielce wówczas, jak wiele, a może i wszystkie miasta polskie, były zamazane antysemitkami graffiti. Dzisiaj w Kielcach nie ma antyżydowskich napisów.

Na spotkaniu z Janem Grossem mieliśmy emocjonującą, ale prawdziwą rozmowę o polskiej, o kieleckiej winie i o przyszłości. Owszem, gdy do Kielc zjechał prowokator Nowak, na spotkanie z nim do miejscowego seminarium duchownego przyszło sporo osób. Głównie starszych. To była głęboka przeszłość naszego miasta. Ale w redakcjach lokalnych gazet następnego dnia rozdzwoniły się telefony. Dzwonili ludzie młodzi, bardzo młodzi, ale i bardzo dojrzały wiekowo. Wyrażali oburzenie, niesmak, protestowali. Starsi ludzie opowiadali o swojej pamięci czasów tuż powojennych. Często mówili o tym po raz pierwszy w życiu. Opowiadali, czego byli świadkami albo co znali z opowieści swoich bliskich. Nareszcie odszedł strach przed mordercami, którzy żyli wśród nich, byli sąsiadami, a czasami być może członkami rodzin. Odszedł strach przed ujawnianiem swoich poglądów. Jak powiedział mi pewien niemłody mężczyzna – wie pan, ja się już nie boję mieć odmienne zdanie. Taki był efekt książki Grossa, debaty nad jego książką, która miała miejsce w Kielcach. Ludzie spotkali innych, podobnych do siebie i odkryli, że nie są sami. W ostatnich tygodniach mogłem doświadczyć prawdziwości słów Vaclawa Havla, który powiedział, że „granica pomiędzy winnymi ‘onymi’ a niewinnymi nami nie przebiega w społeczeństwie, ale poprzez każdego obywatela”.

To wszystko było możliwe, bo przez długie lata wiele osób, miejscowych dziennikarzy, takich jak Jerzy Daniel, Marek Maciągowski czy Jadwiga Karolczak, i naukowców, jak Marta i Stanisław Meduccy, Zenon Guldon, Krzysztof Urbański, Regina Renz, Stanisław Markowski prowadziło badania, publikowało artykuły i książki o problematyce żydowskiej i o stosunkach polsko-żydowskich. Ale były też inne konkretne działania. Obchody rocznicowe, dyskusje publiczne, marsze pamięci.

Dzisiaj myślę o przyszłości z większą nadzieją. Chociaż, gdy przychodzi mój „więzienny dzień”, podupadam. Dlatego dziękując jeszcze raz za to wyróżnienie, chcę powiedzieć, że traktuję je jak paczkę przyslaną do celi, jako pocieszenie bliźniego.

Kiedyś sprawdziłem, co oznacza słowo bliźni. Wyczytałem, że „według doktryny katolickiej – każdy człowiek”. Zastanawiałem się, dlaczego w takim razie nie mówimy po prostu „każdy człowiek” tylko używamy tego eufemizmu „bliźni” prowokując niekończące się dyskusje, kto jest bliźnim, a kto nim nie jest. Niektórzy dochodzą do wniosku, że bliźni to każdy, tylko nie rodzina. Przecież jakże inaczej to brzmi: kochaj każdego człowieka jak siebie samego.

Nowojorski badacz Joseph Nuttin odkrył wiele lat temu, że najbardziej podobają się nam w alfabecie te litery, które mieszczą się w naszym imieniu i nazwisku. Te litery są „nasze”. Prof. Maria Jarymowicz, psycholog z Uniwersytetu Warszawskiego, wielu ludziom zadawała pytanie: kim są ludzie, o których myślisz „my”? Wyszło z tych badań, że „my” to wszyscy, z którymi czujemy się związani, reszta zaś to „inni”, których chętnie wymazujemy z życia i pamięci. „Swoi” budzą skojarzenia pozytywne, są faworyzowani. „Inni” są nam obojętni. A czasem „inni” przekształcają się w „onych”. „Oni” budzą lęk. I wrogość. Często ci „nie-swoi”, a więc inni niż „my”, a więc „obcy” stają się tymi „Onymi”, wobec których rodzi się wrogość.

Dzieje się tak między innymi dlatego, że do wartościowania ludzi częściej używamy systemu afektywnego, uczuciowego (reagujemy na przykład na czyjeś niemądre zachowanie – co za kretyn!) niż myślenia, które każe używać pojęć ogólnych, takich jak człowiek, dobro itd. Ponadto nasz umysł ma naturalną tendencję do dzielenia wszystkiego i wszystkich na kategorie. A konsekwencje tego, jak pokazał brytyjski psycholog Henri Tajfel, są brzemienne. Wystarczy podzielić ludzi na „swoich” i „innych”, aby pojawiło się zjawisko percepcyjnej homogeniczności – „inni” wydają się podobni do siebie. „Oni” są wszyscy tacy sami, co jest pożywką dla stereotypów. A zarazem pojawia się kontrast międzykategorialny, zwiększa się różnica między „nami” a „tamtymi”: „My jesteśmy zupełnie inni niż ‘oni’”. A stąd już

tylko krok do dyskryminacji, delegitymizacji „tamtych”. To są naturalne skłonności naszego umysłu. Nie możemy się od nich uwolnić.

Jeśli weźmiemy pod uwagę tylko te właściwości natury ludzkiej, to musimy być świadomi, że w każdym z nas jest sporo uprzedzeń i stereotypów. Ale nasz umysł – czyli my sami! – zdolny jest do rekatoryzacji, do szukania nadrzędnych kategorii, tak pojemnych, że mogą pomieścić ludzi różnych pod wieloma względami, i wtedy ci inni, ci różni od nas, stają się swoi.

Moja praca, za którą zechcieli mnie państwo wyróżnić, praca wszystkich przywołanych w tym wystąpieniu ludzi i wielu nie przywołanych, to przede wszystkim trud przeciwstawiania się uprzedzeniom i stereotypom. To jest trudna praca. Ale najtrudniejsza jej część to walka z własnymi stereotypami i uprzedzeniami. Tej naprawdę nie ma końca.

Dziękuję państwu za uwagę.